

A. K. GREEN.

# KTO MORDERCĄ?

1

I.

## TAJEMNICZY WYPADEK:

Blisko od roku już pracowałem w adwokackim biurze Beley i Rymond, gdy pewnego dnia rano właśnie podczas nieobecności pana Beleya wbiegł szybko do biura jakiś młody człowiek z tak przestraszoną miną, iż mimowolnie zerwałem się z krzesła i podeszedłem do niego.

— Czem mogę panu służyć? zapytałem — co się stało?

— Chciałbym się widzieć z panem Beley, mam do niego ważny interes.

— Żałuję bardzo odpowiedziałem, lecz pan Beley zupełnie niespodziewanie został wezwany dzisiaj rano do Waszyngtonu i nie prędzej wróci jak jutro. Jeżeli jednak pan może zakomunikować mi sprawę, o którą chodzi...

— Panu? spytał z niedowierzaniem i zmierzyl mnie zimnym, badawczym wzrokiem od stóp do głowy; wygląd mój jednak musiał zadowolić go, gdyż mówił dalej: Właściwie mówiąc niema powodu, dla którego nie mógłbym panu wszystkiego wyjawić, zwłaszcza, że nie zamierzałem okrywać tajemnicą celu swej wizyty. Przyszedłem zawiadomić, iż pan Lavenfort umarł.

— Lavenfort? zawołałem, cofając się w tył.

Lavenfort był starym klientem naszej firmy, a ponadto był uważany za najbliższego przyjaciela pana Beleya.

— Tak i nie tylko umarł, lecz został zabity; kula trafiła go w głowę, gdy siedział przy swym biurku.

— Zabity! strzałem w głowę? — powtarzałem, nie wierząc swym uszom.

Ten wesoły, pełen życia starzec, który tydzień temu był u nas w kantorze, śmiał się i żartował ze mnie, zapraszając do siebie na oglądanie panien na wydaniu — został zabity!

Spoglądając niedowierzająco na swego gościa zapytałem mimowoli:

— W jaki sposób? kiedy?

— Dzisiaj w nocy, tak przynajmniej sądzimy; zbrodnię spostrzeżono jednak dopiero dzisiaj rano. Jestem przybocznym sekretarzem pana Lavenfort i mieszkam u niego w domu. Jest to straszny cios — dodał — zwłaszcza dla młodych panien, jego kuzynek.

— Istotnie, jest to rzeczywiście coś strasznego. Pan Beley będzie tem bardzo zasmucony.

— One są zupełnie same — ciągnął dalej spokojnym urzędowym tonem, co jak potem zauważyłem było własnością jego mowy — mam na myśli panny Lavenfort, kuzynki nieboszczyka. Ponieważ dzisiaj jeszcze rozpocznie się śledztwo w tej sprawie, byłoby więc bardzo pożądanem, by przy tem był obecny jakiś człowiek obeznany z podobnymi sprawami; prosiły mnie też, bym udał się do pana Beleya, jako najbliższego przyjaciela ich stryja i zawiadomił go o wszystkim, spodziewając się, iż pośpieszy przybyć im z radą. Niestety, właśnie na ten czas wyjechał i doprawdy nie wiem teraz, co mam robić.

— Chociaż nie znam tych pań — odpowiedziałem — jeżeli jednak obecność noja może im przynieść jaką korzyść, to przez pamięć dla ich stryja jestem gotów...

Przy słowach tych sekretarz spojrział na mnie w taki sposób, iż nie dokończyłem już zdania. Zasepił się i widocznie było, iż niezadowolony jest z podobnej kombinacji, w końcu jednak rzekł z pewnem wahaniem.

— Trudno... Nie wiem, może tak będzie i lepiej, w każdym razie nie można kobiet tych zostawiać samych bez żadnej opieki...

— Dobrze — przerwałem mu — zaraz idę, wydałem w biurze konieczne rozporządzenia i wyszedłem razem z sekretarzem.

— Niech mi pan teraz opowie wszystko szczegółowo, co pan wie o tym strasznym wypadku — odezwał się do niego.

— Wszystko co wiem można przedstawić w kilku słowach. Gdy wczoraj wieczorem zebrałem się z panem Lavenfort, siedział on jak zwykle przy swym biurku. Dzisiaj rano zastałem go na tem samym miejscu i prawie w tej samej pozycji z tą tylko różnicą, iż głowa jego była przestrzelona na wylot. Rana nie wielka, tak iż w otwór jej mógł-

by wejść zaledwie koniec małego palca, strzał widocznie padł z rewolweru.

— I zastał go pan bez żadnych objawów życia?

— Tak, nie żył już.

— To straszne! — zawołałem.

Po kilkuchwilowym milczeniu spytałem:

— A czy nie było przypadkiem samobójstwa?

— Rewolweru, z którego mógłby strzelić nigdzie dotychczas nie znaleziono.

— Lecz jeżeli zachodzi tu wypadek morderstwa, to musiałaby być jakaś przyczyna do niego. Czy można przypuszczać, że celem zbrodni była grabież?

— Absolutnie nie. Wszystko zastaliśmy w porządku. Wypadek ten stanowi prawdziwą zagadkę.

— Zagadkę?

— Tak i dotychczas nierozwiązaną.

Uważnie spojrzałem na swego towarzysza. Człowiek, który mieszka w domu, gdzie przed chwilą spełniono tajemniczą zbrodnię, musiał każdego interesować. Banalna jednak i bez wyrazu twarz sekretarza nie podniecała mej ciekawości; znówu zwróciłem się do niego z zapytaniem:

— Zapewne kuzynki pana Lavenforta są bardzo przestraszone?

— Naturalnie; inaczej bowiem byłoby to bardzo dziwnem, odpowiedział mi.

Nie wiem, czy wywołało to moje pytanie, czy też coś innego, lecz na twarzy jego zamalował się jakiś przemijający nieuchwytny wyraz, z którego domyśliłem się, że rozmawiając z nim, lepiej nie wspominać o tych pannach. Nigdy ich jeszcze nie widziałem, słyszałem natomiast, że były bardzo wykształcone i obracały się w najlepszym towarzystwie. Spostrzeżenie, jakie teraz uczyniłem, było mi, nie wiem dlaczego, bardzo niemiłe. Widząc przejeżdżający koło nas omnibus, rzekłem do swego towarzysza:

— Czas siadać; odłożymy naszą rozmowę do powiedniejszej chwili.

Rzeczywiście, trudno byłoby prowadzić w omnibusie rozmowę o zabójstwie, zwłaszcza wobec usposobienia sekretarza. Skorzystałem z milczenia, starając się przypomnieć sobie wszystko, co mi było wiadomem o nieboszczyku. Wiadomości moje okazały się zresztą bardzo skąpe. Wiedziałem tyle tylko, iż był bogatym kupcem, który niedawno zlikwidował wszystkie swe interesa i żył w zaciszu, że był bezdzietnym wdowcem dlatego wziął do siebie na wychowanie dwie kuzynki, z których jednej zapisał w testamentie cały swój majątek. Pan Beley nieraz wspominał mi o dziwactwach Lavenforta i nie mógł pojąć, dlaczego jedną kuzynkę czyni swą spadkobierczynią, a drugiej nie chce nic zostawić. O dawniejszym jego życiu, o stanowisku, jakie poprzednio zajmował w świecie, wiedziałem bardzo mało, prawie nic.

Gdyśmy wreszcie dojechali do domu Lavenforta, ujrzelśmy, iż zebrała się już koło niego gromada ludzi. Zaledwie zdążyłem zauważyć, że dom ten jest narożny i bardzo duży, gdy popchnięty przez tłum, znalazłem się przed szerokimi, paradnymi schodami. Z trudem zdołałem uwolnić się od dwóch jakichś przedsiębiorczych chłopców, którzy uchwycili się mnie, by przy mej pomocy dostać się do domu, gdzie spełniono zbrodnię; gdy zobaczyłem, że na szczęście me sekretarz nie opuścił mnie, lecz stoi razem ze mną, pośpieszyłem zaraz zadzwonić. Drzwi natychmiast otworzyły się i na progu spotkał nas człowiek, w którym rozpoznałem łatwo jednego z miejskich agentów.

— Pan Grys? spytałem.

— Tak jest, proszę, niech pan wejdzie.

I nie troszcząc się o cisnący się dokoła nas tłum, na widok którego uśmiechnął się tylko drwiąco, wpuścił nas do środka i zamknął za nami drzwi.

— Spodziewam się, iż pana nie dziwi moja tu obecność? — odezwał się, ściskając mnie za rękę i spoglądając ukradkiem na mego towarzysza.

— Rzeczywiście, że nie — odpowiedziałem; uznałem przytem za swój obowiązek poznać go z młodym człowiekiem, który ze mną przyszedł. — Pozwoli pan przedstawić sobie — zacząłem — pana... Przepraszam, nie znam pańskiego nazwiska — rzekłem, a zwracając się do Grysa, dodałem: — pan ten był sekretarzem nieboszczyka.

— Ah! sekretarz! Koroner już dopytywał się o niego!

— Więc już tu jest?

— Tak i przysięgli również; wszyscy udali się na górę, by przystąpić do śledztwa. Może i pan ma zamiar przyjąć udział w sprawie w charakterze adwokata?

— Nie, przyszedłem tutaj tylko na wypadek, gdyby młode panny potrzebowały mej pomocy —

odrzekłem. Pan Beley bowiem wyjechał, a ja go zastępuję.

— I skorzystał pan z tego wypadku, by zawiązać miłą znajomość? — zauważył agent. — Ponieważ jest pan już tutaj, to zdaje mi się, że dobrze byłoby dla pana, aby jako młody adwokat poznał szczegółowo tę sprawę. Okazuje się, że nie jest ona tak prosta jakby mogła się wydawać. W każdym razie niech pan czyni tak, jak pan uważa za odpowiednie.

Z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie samego powodu nie chciałem przyjmować bliższego udziału w tej sprawie; pohamowałem jednak to uczucie i rzekłem:

— Pójdę z panem.

I właśnie gdy zamierzałem udać się na górę, usłyszałem, iż przysięgli już schodzą; usunąłem się też razem z Grysem do niewielkiej niszy między salonikiem a drugim pokojem i tam prowadziliśmy dalej zaczęłą rozmowę.

— Ten młody człowiek sądzi, że nie popełniono tu zwykłego morderstwa w celu grabieży — odezwałem się.

— Ah, tak? — rzekł Grys i zwrócił wzrok na klamkę przy drzwiach.

— Dzisiaj rano wszystko znaleziono w porządku i...

— I wszystkie zamki w domu były nienaruszone, prawda?

— O tem nie wspominał mi, lecz jeżeli tak jest w istocie, to znaczy, że morderca spędził całą noc w domu.

Grys znówu rzucił okiem na klamkę.

— Jaki to jednak straszny wypadek! — rzekłem po chwili.

Grys jeszcze uważniej zaczął przyglądać się klamce. Winienem tu nadmienić, że Grys nie był wcale podobnym do wysokiego, chudego człowieka o przezywającym spojrzeniu, jakim zapewne wszyscy wyobrażają go sobie; był to dość pełny, okazały mężczyzna o oczach, które nigdy nikogo nie przeszywały, a nawet nigdy nie zatrzymywały się na rozmawiającym z nim. Grys przyglądał się przeważnie jakimś postronnym przedmiotom, jak wazonom, kalamarzowi lub książkom i zdawało się, że rzeczy te tak bardzo pochłaniają całą jego uwagę, iż nawet nie dostrzega tego, kogo ma przed sobą. Tym razem, jak już wspominałem, zajął się oglądaniem klamki przy drzwiach.

— Straszny wypadek! — powtórzyłem.

— Chodźmy — rzekł do mnie i bacznie spojrział na jedną z mych spinek.

Podszedł naprzód zatrzymał się jednak na górnej kondygnacji schodów i zwrócił się do mnie:

— Muszę się przyznać panu, panie Rymond, że nie bardzo lubię zapuszczać się w wyjawianie tajemnic swego zawodu, w tym jednak wypadku będzie rzeczą niezmiernie wagi wpaść od razu na dobry ślad. Mamy do czynienia nie ze zwykłym mordercą, a z człowiekiem prawie genialnym. Zdarza się często tak, że tam, gdzie zawodowiec doskonałe wykwalifikowany w swym zajęciu błąka się poomacku, osoba postronna, działająca bez najmniejszego planu, od razu wchodzi na właściwą drogę. Jeżeliby panu to się udało, proszę pamiętać o mnie. Niech pan w takim razie z nikim o tem nie rozmawia, lecz zwraca się wprost do mnie, zbrodnia ta bowiem jest niepospolita. A teraz proszę za mną.

— A jakże się mają te młode panny?

— Znajdują się w jednym z pokoi na górnym piętrze. Ma się rozumieć, że smutek ich bardzo wielki, o ile jednak słyszałem, okazały w tym wypadku wiele zimnej krwi.

Podszedł do jednych z drzwi, otworzył je i dał mi znak bym wszedł.

Gdy wzrok mój przyzwyczaił się do panującego tu zmroku, domyśliłem się, iż znajdujemy się w bibliotece.

— Tutaj go właśnie zabił — rzekł agent, wskazując na biurko stojące wraz z krzesłem pośrodku pokoju. — Widzi pan, że biurko znajduje się akurat wprost tych drzwi — mówiąc to, podszedł do progu drzwi, wychodzących na wązki korytarz, na końcu którego znajdował się pokój. — Ponieważ nieboszczyka znaleziono w postaci siedzącej na tem krześle, z plecami zwróconemi do drzwi, to widoczne jest, że morderca wszedł właśnie przez nie przystanął mniej więcej tutaj, — agent ukazał mi miejsce na dywanie w odległości kroku od drzwi.

— Lecz... zauważyłem.

— Tutaj niema żadnego „lecz“ — przerwał mi — wszystko dokładnie zbadałem i rozważyłem — i nie zapuszczając się w dalsze tłumaczenia, odwrócił się i wyszedł na ów wspomniany wązki korytarz. — Tutaj stoją butelki z winem — ciągnął